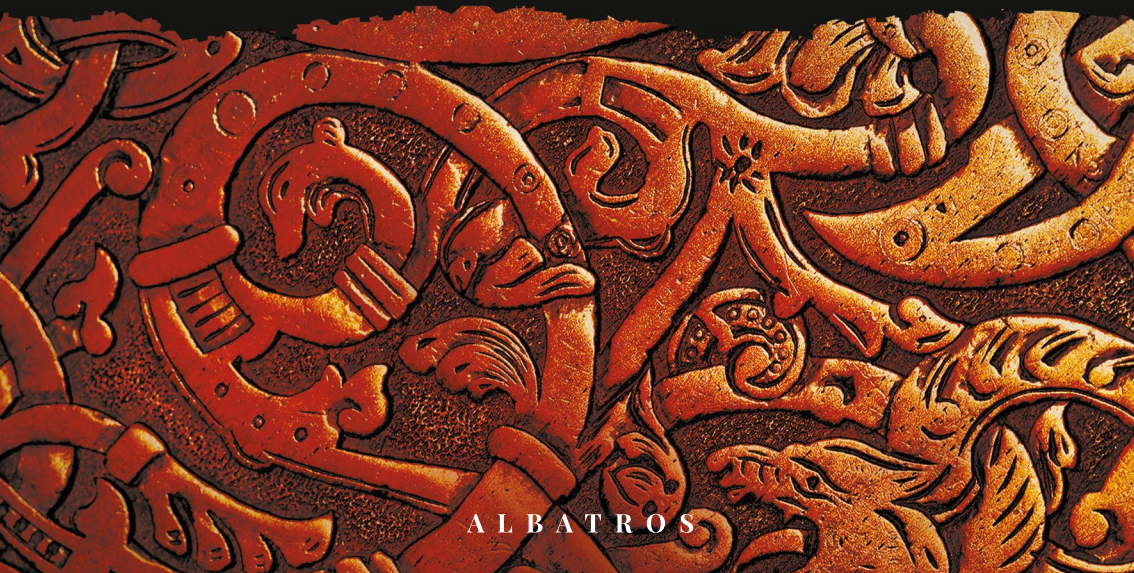




KEN FOLLETT

NIECH STANIE SIĘ ŚWIATŁOŚĆ



ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE EVENING AND THE MORNING

Copyright © Ken Follett 2020
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2020

Polish translation copyright © Anna Dobrzańska 2020

Redakcja: Marzena Wasilewska

Zdjęcia na okładce: Carlos Casado/Shutterstock (*dziób łodzi*),
Asmus Koefoed/Shutterstock (*ornament*), Pexels (*niebo*).
Na tylnej okładce wykorzystano inicjał z Book of Kells

Projekt graficzny okładki: Katarzyna Meszka

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



ROZDZIAŁ 1

Czwartek, 17 czerwca 997

Edgar przekonał się, że niełatwo jest czuwać przez całą noc, nawet jeśli jest to najważniejsza noc w życiu.

Rozłożył opończę na wysypanej sitowiem podłodze i położył się na niej, odziany w sięgającą do kolan brązową wełnianą tunikę, którą nosił przez całe lato, zarówno w dzień, jak i w nocy. Zimą otulał się opończą i kładł przy ogniu. Teraz jednak było ciepło – do nocy świętojańskiej został tylko tydzień.

Zawsze wiedział, jaki jest dzień, podczas gdy większość ludzi musiała pytać księży, którzy prowadzili kalendarze. Erman, starszy brat Edgara, zapytał go pewnego dnia: „Skąd wiesz, kiedy jest Wielkanoc?”, a on odparł: „Wypada w pierwszą niedzielę po pierwszej pełni księżyca po dwudziestym pierwszym dniu marca. To oczywiste”. Popełnił błąd, dodając, że „to oczywiste”, albowiem Erman uznał to za złośliwość i uderzył go pięścią w brzuch. To było jednak lata temu, kiedy Edgar był mały. Teraz dorósł. Trzy dni po wigilii świętego Jana skończy osiemnaście wiosen. Dawno już przestał zbierać cięgi od braci.

Potrząsnął głową. Te rozmyślenia sprawiały, że zaczął zapadać w sen. Spróbował ułożyć się tak, by było mu niewygodnie, i złożył głowę na pięści, żeby nie zasnąć.

Zastanawiał się, ile jeszcze będzie musiał czekać.

Odwrócił głowę i omiótł wzrokiem izbę. Jego chata wyglądała jak niemal wszystkie chaty w Combe: ściany z dębowych desek, kryty strzechą dach i klepisko częściowo przykryte trzciną porastającą brzegi pobliskiej rzeki. Nie było tu okien. Pośrodku jedynej izby mieściło się otoczone kamieniami palenisko. Nad ogniem stał żelazny trójnóg, na którym wieszano garnki. Jego nogi rzucały na powale cienie przypominające odnóża pająka. W ścianach tkwiły drewniane kołki do wieszania ubrań, garnców i narzędzi skutniczych.

Edgar nie wiedział, ile czasu minęło, mógł bowiem przysnąć, i to kilkakrotnie. Wcześniej nasłuchiwał odgłosów miasta gotującego się do snu: pijaków śpiewających nieprzyzwoitą przyśpiewkę, małżeńskie klótni w domu obok, trzasku drzwi, ujadania psa i gdzieś niedaleko kobiecego szlochu. Teraz jednak nie słyszał niczego poza kołysanką fal na osłoniętej plaży. Patrzył w stronę drzwi, wypatrując przeświecających zza nich smug światła zwiastujących brzask, lecz zobaczył tylko ciemność. To znaczyło, że albo księżyc zaszedł i noc ma się ku końcowi, albo niebo zasnuwane jest chmurami.

Reszta jego rodziny leżała pod ścianami, gdzie dym nie był taki gęsty. Ojciec i matka spali odwróceniem do siebie plecami. Czasami budzili się w środku nocy, obejmowali się, szeptali i poruszali rytmicznie, aż w końcu zdyszani opadali na posłanie. Teraz jednak spali. Ojciec chrapał. Liczący dwadzieścia wiosen Erman, najstarszy brat Edgara, leżał obok niego, a średni z trzech braci, Eadbald, kulił się w kącie. Edgar słyszał ich równe, miarowe oddechy.

W końcu odezwał się dzwon kościelny.

W drugim końcu miasta znajdował się klasztor. Mnisi potrafili odmierzać godziny nocy: robili wysokie świece z nacięciami, które w miarę wypalania informowały o upływie czasu. Godzinę przed świtem mnisi uderzali w dzwon i wstawali, by wyśpiewywać na jutrzni swoje pieśni.

Edgar jeszcze przez chwilę leżał bez ruchu. Wiedział, że dźwięk dzwonu może obudzić matkę, która ma lekki sen. Dał jej czas, by zasnęła z powrotem, i w końcu dźwignął się z klepiska.

Po cichu sięgnął po opończę, buty i pas z przytroczonym do niego sztyletem. Uważając, by nie wpaść na któryś z mebli – stół, dwa zydle i ławę – bosy podszedł do drzwi. Otworzyły się bezgłośnie, bo wczoraj porządnie nasmarował zawiasy owczym łojem.

Gdyby ktoś z rodziny obudził się teraz i zapytał, dokąd idzie, odparłby, że musi się wysikać, licząc, że nie zauważą butów w jego dłoni.

Eadbald mruknął i Edgar zamarł. Czyżby brat się obudził, czy może tylko mruczał przez sen? Nie potrafił powiedzieć. Ale Eadbald był powolny i nieskory do awantur, podobnie jak ojciec. Nie narobi mu kłopotu.

Edgar wyszedł na zewnątrz i ostrożnie zamknął za sobą drzwi.

Księżyc zaszedł, lecz niebo było czyste i miriady gwiazd rozświetlały plażę. Między chatą i palikiem wskazującym poziom wody znajdował się warsztat szkutniczy. Ojciec budował łodzie, a jego trzech synowie pracowali razem z nim. Był dobrym rzemieślnikiem, nie miał jednak głowy do interesów, więc pieniędzmi zarządzała matka, zwłaszcza gdy chodziło o wyliczanie okazałych sum za coś tak skomplikowanego jak

statek czy łódź. Jeśli klient próbował utargować niższą cenę, ojciec był gotów przystać na jego propozycję, ale żona mu nie pozwalała.

Sznurując buty i zapinając pas, Edgar zerkał na warsztat i czekającą na ukończenie niewielką łódź do pływania w górę rzeki. Nieopodal leżała ogromna sarta cennego drewna. Rozłupane na połówki i ćwiartki pnie czekały, aż powstaną z nich części łodzi. Mniej więcej raz w miesiącu cała rodzina udawała się do lasu i wspólnymi siłami ścinała rosły dąb. Pierwsi przystępowali do pracy ojciec i Edgar – na przemian wymachiwali toporami na długich styliskach i starannie podcinali pień. Kiedy odpoczywali zmęczeni, za topory chwyтали Erman i Eadbald. Po obcięciu gałęzi spławiano pień w dół rzeki do Combe. Rzecz jasna musieli za niego płacić; las należał do tana Wigelma, któremu większość mieszkańców Combe płaciła za dzierżawę i który za każde drzewo żądał trzech srebrnych pensów.

Oprócz stosu drewna w warsztacie były także beczka smoły, zwój liny i kamień szlifierski. Wszystkiego strzegł uwiązany na łańcuchu mastyf Grendel – czarne psisko z szarym pyskiem, zbyt stare, by zrobić krzywdę złodziejom, lecz wciąż potrafiące narobić hałasu. Grendel był teraz cicho i leżąc z głową na łapach, popatrywał na Edgara obojętnym wzrokiem. Chłopak przyklęknął i pogłaskał go po łbie.

– Zegnaj, staruszk – wymruczał, na co pies, nie podnosząc się z ziemi, pomachał radośnie ogonem.

W warsztacie była łódź rybacka, którą Edgar traktował jak swoją. Zbudował ją sam według projektu opartego na łodziach wikingów. Po prawdzie nigdy nie widział żadnego wikinga – ci jeszcze nigdy nie złupili Combe – lecz dwa lata temu wody wyrzuciły na brzeg wrak, pusty i poczerniały od ognia, z zatkniętą na dziobie smoczą głową rozrąbaną na pół – niechybnie podczas bitwy. Edgara zachwyciło piękno zniszczonej łodzi: pełne wdzięku łuki, długi węzowy dziób i smukły kadłub. Najbardziej jednak urzekł go biegnący na całej długości łodzi wystający długi kil, który – jak stwierdził po namyśle – przydawał jej stabilności i pozwalał wikingom przemierzać morza. Łódź Edgara była znacznie mniejsza, z dwoma wiosłami i małym, prostokątnym żaglem.

Wiedział, że ma talent. Już teraz był lepszym skutnikiem od starszych braci, a niebawem prześcignie ojca. Instynktownie wyczuwał, jak łączyć ze sobą rozmaite elementy, by razem tworzyły solidną konstrukcję. Lata temu podsłuchał, jak ojciec mówił do matki: „Erman uczy się powoli, a Eadbald szybko, lecz Edgar sprawia wrażenie, jakby pojmował wszystko, nim zdążę cokolwiek powiedzieć”. Była to prawda. Niektórzy sięgali po instrument, na którym nigdy wcześniej nie grali – fujarkę albo lirę – i chwilę później dobywali z niego melodię. Edgar miał tak z łodziami i domami. „Ta łódź będzie się przechylała na sterburtę”, mówił, albo „Ten dach będzie przeciekał”. I zawsze miał rację.

Odcumował łódź i zepchnął ją w stronę wody. Dźwięk kadłuba szorującego po piasku był stłumiony chłupotem fal liżących brzeg.

Edgara zaskoczył dziewczęcy chichot. W świetle gwiazd zobaczył nagą kobietę leżącą na piasku i leżącego na niej mężczyznę. Pewnie ich znał, lecz nie mogąc dostrzec twarzy, pospiesznie odwrócił wzrok. Domyślał się, że przyłapał ich na potajemnej schadzce. Kobieta wydawała się młoda, a mężczyzna być może miał żonę. Księża potępiali takie postępowanie, ale ludzie nie zawsze ich słuchali. Edgar zignorował tych dwoje i zepchnął łódź do wody.

Miał szczęście, że znalazł pracę gdzieś indziej. Interesy ojca nie szły najlepiej, odkąd Edgar skończył dziewięć lat, a wikingowie ponowili ataki na południu Anglii. Handel i połowy były niebezpieczne, gdy w pobliżu czaili się grabieżcy. Tylko najdzielniejsi ludzie kupowali łodzie.

Na przystani cumowały dwa statki rybackie do połowu śledzi i frankijski kupiecki, a na brzeg wciągnięto kilka mniejszych łodzi do pływania po rzekach i wzdłuż nabrzeży. Sam pomagał zbudować jeden ze statków rybackich. Pamiętał jednak czasy, gdy na przystani zawsze cumowało kilkanaście łodzi, a czasem więcej.

Poczuł rześką bryzę z południowego zachodu, częstą w tej okolicy. Jego łódź miała żagiel – mały, ponieważ były one niezwykle kosztowne; na utkanie naturalnej wielkości żagla dla statku żeglującego po morzach jedna kobieta potrzebowała aż czterech lat – lecz go nie rozwinął. W czasie krótkiej podróży przez zatokę nie było to warte zachodu. Edgar zaczął wiosłować. Przychodziło mu to z łatwością, miał bowiem mięśnie niczym kowal, podobnie jak jego ojciec i bracia. Przez cały dzień sześć dni w tygodniu pracowali siekierami, toporkami i świdrami, nadając kształt dębowym deskom, z których powstawały kadłuby łodzi. Była to ciężka praca dla silnych mężczyzn.

Radował się, bo udało mu się zbiec i płynął na spotkanie z kobietą, którą kochał. W świetle gwiazd piasek na brzegu rzucał biały blask, a gdy wiosła wynurzały się na powierzchnię, piana wokół nich przywodziła na myśl włosy jego ukochanej, które opadały jej na ramiona. Miała na imię Sungifu, lecz wszyscy mówili na nią Sunni, i była wyjątkowa pod każdym względem.

Widział ciągnące się na nabrzeżu zabudowania, w większości kramy rybaków i handlarzy. Był tu także warsztat blacharza wyrabiającego nierdzewne części do łodzi, podwórze, gdzie skręcano liny, a także wielki piec smolarza, w którym wypalano sosnowe kłody, aby uzyskać lepką substancję służącą szkutnikom do uszczelniania łodzi. Z wody miasto zawsze wydawało się większe. Liczyło kilkuset mieszkańców, a byt większości z nich był w ten lub inny sposób związany z morzem.

Edgar spojrział na drugi brzeg zatoki. W ciemności nie byłby w stanie zobaczyć Sunni, nawet gdyby tam stała. Wiedział jednak, że jej

nie ma, bo mieli się spotkać dopiero o świcie. Mimo wszystko nie mógł oderwać wzroku od miejsca, w którym wkrótce zobaczy ukochaną.

Sunni miała dwadzieścia jeden wiosen i była starsza od Edgara o przeszło trzy lata. Zauważył ją, gdy pewnego dnia siedział na plaży i wpatrywał się we wrak wikińskiej łodzi. Oczywiście znał ją z widzenia – znał tutaj wszystkich mieszkańców – ale wcześniej nie zwracał na nią uwagi i nie przypominał sobie, by wiedział coś na temat jej rodziny.

– Morze wyrzuciło cię razem z wrakiem? – spytała. – Siedziałeś tak nieruchomo, że wzięłam cię za drewno, które fale wymyły na brzeg.

Domyślił się, że musi mieć bujną wyobraźnię, skoro wymyśliła coś takiego, i przeczuwając, że go zrozumie, odparł, że fascynuje go kształt wikińskiej łodzi. Po godzinie rozmowy był w niej zakochany bez pamięci.

Sunni powiedziała mu, że jest mężatką, ale było już za późno.

Jej mąż, Cyneric, liczył sobie trzydzieści wiosen i Sunni poślubiła go w wieku czternastu lat. Cyneric miał niewielkie stado mlecznych krów, których doglądała. Była bystra i zarobiła dla niego dużo pieniędzy. Dzieci nie mieli.

Edgar szybko odkrył, że Sunni nienawidzi męża. Co wieczór po nocnym dojeniu Cyneric chodził do karczmy Pod Żeglarzem i upijał się. Sunni mogła się wtedy wymykać z domu na spotkania z Edgarem.

Teraz jednak przestaną się ukrywać. Dziś uciekną razem... czy raczej odpłyną. Edgarowi zaproponowano pracę i dom w wiosce rybackiej pięćdziesiąt mil dalej wzdłuż wybrzeża. Miał szczęście, że spotkał skutnika, który szukał rąk do pracy. Edgar nie miał pieniędzy – nigdy ich nie miał, bo matka twierdziła, że są mu niepotrzebne – lecz wziął swoje narzędzia; leżały w schowku na łodzi. Wkrótce on i Sunni rozpoczną nowe życie.

Kiedy wyda się, że zniknęli, Cyneric zacznie myśleć o ponownym ożenku. Jeśli żona uciekała z innym, małżeństwo stawało się nieważne. Kościołowi mogło się to nie podobać, ale taki był zwyczaj. Sunni mówiła, że w ciągu kilku tygodni Cyneric uda się na wieś i znajdzie przymierającą głodem rodzinę z ładną czternastoletnią córką. Edgar zastanawiał się, po co mu nowa żona, skoro według Sunni łóżkowe sprawy niewiele go interesowały.

– Musi mieć kogoś, kim będzie mógł pomiatać – mówiła. – A problem ze mną jest taki, że jestem wystarczająco dorosła, żeby nim pogardzać.

Cyneric nie będzie ich ścigał, nawet jeśli się dowie, gdzie się ukrywają, co prawdopodobnie nieprędko się wyda.

– A jeżeli się mylimy i nas odnajdzie, spiorę go na kwaśne jabłko – zagroził Edgar. Sunni miała taką minę, jakby uważała jego słowa za czcze przechwałki, i nie myliła się. – Ale pewnie nie dojdzie do tego –

dodał więc pospiesznie.

Dopłynąwszy na drugą stronę zatoki, wciągnął łódź na brzeg i zawiązał linę cumowniczą wokół głazu. Słyszał śpiew mnichów i ich modlitwy. Klasztor znajdował się nieopodal, a kilkaset jardów dalej stała chata Cynerica i Sunni.

Edgar usiadł na piasku i wpatrzony w ciemne morze i niebo, rozmyślał o ukochanej. Czy wymknie się z domu równie łatwo jak on? A jeśli Cyneric się obudzi i ją zatrzyma? Może wywiązać się awantura. Nagle ogarnęła go przemożna chęć, żeby zmienić plan i pójść po Sunni.

Z trudem się powstrzymał. Wiedział, że dziewczyna lepiej poradzi sobie sama. Pijany Cyneric spał twardo, a ona poruszała się cicho jak kotka. Zamierzała położyć się do łóżka w jedynej ozdobie, jaką miała – misternie rzeźbionym srebrnym kółku zawieszonym na skórzanym rzemyku. W sakiewce u pasa miała igłę i nić, a także haftowaną płócienną obręcz na głowę, którą zakładała na wyjątkowe okazje. Podobnie jak Edgar, mogła wymknąć się z domu w ciągu kilku sekund.

Niebawem tu będzie, z oczami błyszczącymi z podniecenia i gibkim ciałem spragnionym jego dotyku. Padną sobie w objęcia i tuląc się do siebie, pocałują się namiętnie, a gdy już nacieszą się sobą, Sunni wejdzie do łodzi, którą on zepchnie do wody, i oboje popłyną ku wolności. Pomyślał, że gdy będą już daleko od brzegu, znowu ją pocałuje. Kiedy będą mogli się kochać? Sunni była równie niecierpliwa jak on. Może wrzuci do wody obwiązany liną kamień, którego używał jako kotwicy, i zlegną na dnie, pod ławką wioślarską. Będzie im trochę niewygodnie, ale jakie to miało znaczenie? Łódź zakolysze się na falach, a oni poczują na nagiej skórze ciepłe promienie wschodzącego słońca.

Choć może rozsądniej byłoby rozwinąć żagiel, oddalić się od miasta na bezpieczną odległość i dopiero wtedy zarzucić kamień kotwiczny. Chciał odpłynąć jak najdalej, nim słońce stanie wysoko na niebie. Wiedział, że nie będzie to łatwe, kiedy Sunni znajdzie się tak blisko, wpatrzona w niego i uśmiechnięta. Przede wszystkim jednak chciał, żeby oboje byli bezpieczni.

Postanowili, że gdy dotrą do nowego domu, powiedzą, że są małżeństwem. Jeszcze nigdy nie spędzili nocy we wspólnym łóżu. Od dziś co wieczór będą razem jeść kolację i zasypiać, tuląc się, a raniem uśmiechać się do siebie znacząco.

Zobaczył błysk światła na horyzoncie – znak, że niedługo zacznie świtać. Lada chwila Sunni powinna tu być.

Na myśl o swojej rodzinie poczuł smutek. Wyobrażał sobie życie bez braci, którzy nadal traktowali go jak głupiego młokosa i próbowali udawać, że są od niego mądrzejsi. Będzie jednak tęsknił za ojcem, przez całe życie powtarzającym mu rzeczy, których on nigdy nie zapomni, na przykład: „Bez względu na to, jak dobrze spasujesz klepki, łączenie jest

zawsze najsłabszym punktem”. Na myśl, że porzuca matkę, łzy napłynęły mu do oczu. Była silną kobietą; w trudnych chwilach nie utyskiwała na swój los, lecz stawiała mu czoło. Trzy lata temu, kiedy ojciec zapadł na poty i omal nie umarł, to ona przejęła obowiązki. Mówiła chłopcom, co mają robić, ściągала długi i dbała o to, by klienci nie rezygnowali z zamówień. Potrafiła przewodzić, i to nie tylko rodzinie. Ojciec był jednym z dwunastu starszych Combe, ale to matka poprowadziła mieszkańców, gdy tan Wigelm próbował podnieść komorne.

Myśl o porzuceniu rodziny byłaby nie do zniesienia, gdyby nie to, że Edgara czekała przyszłość u boku Sunni.

W bladym świetle dostrzegł na wodzie coś dziwnego. Wzrok miał dobry, nawykły do wypatrywania statków, i z daleka potrafił odróżnić kadłub od wysokiej fali albo nisko wiszącej chmury, teraz jednak nie wiedział, na co patrzy. Wytężył słuch, lecz wychwycił jedynie chlupot fal omywających piaszczystą plażę.

Po chwili wydało mu się, że dostrzegł łeb potwora, i zdjął go strach. Na tle jaśniejszego nieba ujrzał coś przypominającego spiczaste uszy, wielkie szczęki i długą szyję.

W końcu dotarło do niego, że to, na co patrzy, jest gorsze od potwora. Była to łódź wikingów ze smoczą głową zatknętą na wysokiej dziobnicy.

Kolejna łódź zamajaczyła w oddali, a po niej trzecia i czwarta. Żagle wydymały się na wznoszącym się południowo-wschodnim wietrze, gdy lekkie łodzie ślizgały się na falach. Edgar zerwał się na równe nogi.

Wikingowie byli złodziejami, gwałcicielami i mordercami. Atakowali wzdłuż wybrzeży i w górze rzek. Palili miasta i wioski, zabierali wszystko, co zdołali unieść, i wyrzynali wszystkich z wyjątkiem młodych mężczyzn i kobiet, których brali jako jeńców i sprzedawali w niewolę.

Edgar wahał się przez chwilę.

Widział teraz dziesięć łodzi, a to znaczyło, że płynię ku nim co najmniej pięć setek wikińskich wojowników.

Lecz czy to aby na pewno byli wikingowie? Inni skutnicy wzorowali się na nich... sam tak robił. Potrafił jednak dostrzec różnicę: łodzie skandynawskich wojowników miały w sobie groźbę, której nie sposób było podrobić.

Zresztą któż inny mógłby płynąć w takiej liczbie bladym świtem? Nie, Edgar nie miał wątpliwości.

Do Combe nadciągało piekło.

Musiał ostrzec Sunni. Gdyby dotarł do niej na czas, wciąż jeszcze mogliby zbiec.

Ze wstydem uświadomił sobie, że to o niej pomyślał w pierwszej kolejności. Nie o rodzinie. Ich także musiał ostrzec. Mieszkali jednak

na drugim końcu miasta. Najpierw odnajdzie Sunni.

Zawrócił i pobiegł wzdłuż plaży, wypatrując na ścieżce na wpół ukrytych przeszkód. Po chwili zatrzymał się i obejrzał na zatokę. Przeraziło go to, jak szybko płyną wikińskie statki. Widział zbliżające się płonące pochodnie, których blask odbijał się w wodzie. Inne łodzie wciągano na brzeg. Już tu byli!

Poruszali się bezszelestnie. Edgar pomyślał o modlących się mnichach, nieświadomych czekającego ich losu. Ich również powinien uprzedzić. Ale przecież nie mógł ostrzec wszystkich!

A może mógł... Patrząc na wieżę kościoła, rysującą się na tle jaśniejącego nieba, pomyślał, że istnieje sposób, by ostrzec Sunni, swoją rodzinę, mnichów i całe miasto.

Skręcił gwałtownie w stronę klasztoru. Z ciemności wyłonił się niski płotek i Edgar, nie zwalniając, przesadził go jednym susem. Łądując po drugiej stronie, zatoczył się, zaraz jednak odzyskał równowagę i popędził dalej.

Dotarł do drzwi kościoła i obejrzał się. Klasztor zbudowano na niewielkim wzniesieniu, z którego roztaczał się widok na całe miasto i zatokę. Setki wikingów biegły przez płycizny ku plaży i dalej w stronę zabudowań. Zobaczył, jak kryty wyschniętą strzechą dach zajmuje się ogniem. A zaraz potem następny i jeszcze jeden. Edgar znał wszystkie domy i ich mieszkańców, lecz w słabym świetle poranka nie był w stanie rozpoznać, czyje obejścia płoną; pomyślał ze zgrozą, że to może być ich dom.

Pchnięciem otworzył drzwi kościoła. Nawę oświetlało światło świec. Niektórzy mnisi przestali śpiewać, gdy zobaczyli go, biegnącego do wejścia na wieżę. Ujrzał zwisającą linę, chwycił ją i pociągnął. Ku jego przerażeniu dzwon nie wydał żadnego dźwięku.

Jeden z mnichów odłączył się od pozostałych i ruszył ku niemu zdecydowanym krokiem. Ogolony czubek jego głowy otoczony był wianuszkiem siwych loków. Edgar rozpoznał w nim przeora Ulfrica.

– Wynoś się stąd, ale już, głupi chłopcze – powiedział oburzony mnich.

Chłopak nie miał czasu na wyjaśnienia.

– Muszę uderzyć w dzwon – odparł gorączkowo. – Co jest z nim nie tak?

Msza została przerwana i wszyscy mnisi patrzyli w ich stronę. Chwilę później do Edgara podszedł klasztorny kucharz, Maerwynn. Był młodszy od Ulfrica i nie tak napuszony.

– Co się dzieje, Edgarze? – spytał.

– Wikingowie! – krzyknął chłopak. Kolejny raz szarpnął linę. Nigdy dotąd nie próbował uderzyć w kościelny dzwon i zdumiał się, jak bardzo jest ciężki.

– Nie! – zawołał przeor Ulfric. Surowość na jego twarzy ustąpiła miejsca przerażeniu. – Boże, miej nas w opiece!

– Jesteś pewien, Edgarze? – zapytał Maerwynn.

– Widziałem ich z plaży!

Maerwynn podbiegł do drzwi i wyrzwał na dwór. Kiedy wrócił, twarz miał białą jak płótno.

– To prawda – potwierdził.

– Uciekajcie! – ryknął Ulfric. – Wszyscy uciekajcie!

– Zaczekajcie! – odezwał się Maerwynn. – Edgarze, ciągnij za linę. Trzeba szarpnąć kilka razy, żeby uderzyć w dzwon. Uwieś się na niej. Słuchajcie – zwrócił się do mnichów – mamy chwilę, nim tutaj dotrą. Uciekając, niech każdy z was coś weźmie: w pierwszej kolejności relikwiarze ze szczątkami świętych, wysadzone klejnotami paramenty i księgi. Potem biegnijcie do lasu.

Uwieszony liny Edgar oderwał stopy od podłogi i chwilę później usłyszał donośny dźwięk dzwonu.

Ulfric chwycił srebrny krzyż i rzucił się w stronę drzwi. Pozostali mnisi poszli za jego przykładem. Niektórzy ze spokojem zbierali cenne przedmioty, inni krzyczeli i panikowali.

Rozkołysany dzwon uderzał raz za razem. Edgar wściekle ciągnął za linę, wieszając się na niej całym ciężarem ciała. Chciał, by wszyscy wiedzieli, że nie jest to zwykłe wezwanie do pobudki, lecz alarm, który ma postawić na nogi całe miasto.

Po chwili uznał, że już wystarczy, puścił rozkołysaną linę i wybiegł z kościoła.

Gryząca woń palonej strzechy uderzyła go w nos. Rzeźki południowo-zachodni wiatr sprawiał, że ogień rozprzestrzeniał się w zastraszającym tempie. Dniało. Ludzie wybiegali z chat, niosąc na rękach niemowlęta, młodsze dzieci i co tylko mieli cennego: narzędzia, kury i skórzane sakiewki z pieniędzmi. Najszybsi biegli już przez pola w stronę lasu. Widząc to, Edgar pomyślał, że dzięki dzwonowi przynajmniej niektórzy zdołają zbiec.

On, omijając przyjaciół i sąsiadów, biegł pod prąd, w stronę domu Sunni. Zobaczył piekarza, który o tej porze zwykle krzątał się już przy piecu. Teraz wybiegał z domu z workiem mąki zarzuconym na ramię. W karczmie Pod Zeglarzem było cicho; jej bywalcy najwyraźniej nie spieszyli się z ucieczką. Złotnik Wyn przegalopował obok na koniu ze skrzynią przytroczoną do grzbietu wierzchowca. Przerażone zwierzę gnało ile sił, złotnik zaś kurczowo obejmował je za szyję. Niewolny o imieniu Griff niósł na rękach starą kobietę, która była jego panią. Edgar przyglądał się twarzom mijających go ludzi, wypatrując wśród nich Sunni. Nigdzie jej jednak nie widział.

I nagle zobaczył wikingów.

Na ich czele szedł tuzin rośliwych mężczyzn i dwie budzące grozę kobiety – wszyscy w skórzanych kamizelkach, uzbrojeni we włócznie i w topory. Edgar zauważył, że nie mają hełmów, i kiedy strach podchodził mu do gardła jak wymiociny, uświadomił sobie, że słabowici mieszkańcy Combe nie stanowią dla nich żadnego zagrożenia. Niektórzy z najeźdźców już nieśli łupy: miecz z rękojeścią wysadzaną klejnotami, który bardziej nadawał się na pokaz niż do bitwy, sakwę ciężką od monet, futro, drogie siodło i uprzęż zdobioną złożonym brązem. Jeden prowadził białego konia, który jeszcze niedawno należał do właściciela statku do połowy śledzi, a inny niósł przerzuconą przez ramię dziewczynę. Edgar odetchnął z ulgą, widząc, że to nie Sunni.

Cofnął się, lecz wikingowie parli naprzód. Nie mógł uciec, musiał przecież odnaleźć Sunni.

Kilku dzielnych mieszkańców postanowiło stawić opór. Edgar ich nie rozpoznał, stali bowiem odwróceny do niego plecami. Niektórzy byli uzbrojeni w topory i sztylety, jeden miał łuk i strzały. Przez chwilę Edgar gapił się na nich sparalizowany widokiem ostrych kling tnących ciała, zwierzęcymi wrzaskami rannych, wonią płonącego miasta. Do tej pory oglądał jedynie bójki na pięści między kłócącymi się chłopakami albo pijanymi mężczyznami. To było coś nowego: tryskająca krew, wnętrzości wylewające się z rozprutych brzuchów, krzyki strachu i przerażenia. Zmartwiał ze zgrozy.

Handlarze i rybacy z Combe nie mogli równać się z najeźdźcami, którzy żyli z mordowania. Wystarczyła chwila, by wikingowie wyrznęli obrońców wioski i ruszyli dalej. Za nimi nadciągali następni.

W końcu Edgar opamiętał się i ukrył za domem. Wiedział, że musi uciekać, lecz nie był na tyle przerażony, by zapomnieć o Sunni.

Najeźdźcy szli główną ulicą, ścigając uciekających ludzi, jednak za domami ich nie było. Każde gospodarstwo miało około pół akra ziemi: większość ludzi uprawiała na nich drzewa owocowe i warzywa, a zamożniejsi pobudowali kurniki i zagrody dla świń. Edgar przemyczał z jednego ogródka do drugiego, kierując się w stronę domu ukochanej.

Sunni i Cyneric mieszkali w chacie podobnej do innych, z dobudowaną do niej mleczarnią. Ściany mleczarni ulepiono z mieszanki piasku, kamyków, gliny i słomy, a dach pokryto cienkimi kamiennymi płytkami – wszystko po to, by w pomieszczeniu panował chłód. Chata stała na skraju małego poletka, na którym pasły się krowy.

Edgar dotarł do niej, pchnięciem otworzył drzwi i wpadł do środka.

Cyneric, niski krępy mężczyzna o czarnych włosach, leżał na podłodze. Sitowie wokół niego nasiąkło krwią, a on się nie ruszał. Rana biegnąca od szyi do ramienia przestała już krwawić i Edgar nie miał wątpliwości, że mężczyzna nie żyje.

Brindle, brązowo-biała suka Sunni, stała w kącie, dysząc i dygocząc,

jak to psy, kiedy się czegoś boją.

Gdzie jednak była jej pani?

Na tyłach chaty znajdowało się przejście do mleczarni. Drzwi stały otworem. Idąc w ich stronę, Edgar usłyszał krzyk ukochanej.

Gdy wpadł do mleczarni, ujrzał wysokiego wikinga o złotych włosach. Pomieszczenie wyglądało jak pole walki: skopek na mleko leżał przewrócony – jego zawartość wylała się na kamienną podłogę – podobnie jak długi żłób, z którego jadły krowy.

Chwilę później Edgar pojął, że przeciwniczką wikinga jest Sunni. Jej opaloną twarz wykrzywiał grymas wściekłości, ciemne włosy miała zmierzwiłone, a otwarte usta obnażały białe zęby. Wiking trzymał w dłoni topór, lecz go nie używał. Drugą ręką próbował przyprzeć do podłogi Sunni, która wymachiwała dużym kuchennym nożem. Najwyraźniej nie chciał jej zabijać, lecz tylko pojmać, bo zdrowa młoda niewolnica była sporo warta.

Zadne z nich nie widziało Edgara.

Nim chłopak zdążył się poruszyć, Sunni chlasnęła napastnika nożem w twarz. Ten ryknął z bólu, a z rozciętego policzka trysnęła krew. Rozjuszony wojownik cisnął topór na ziemię, oburącz chwycił dziewczynę za ramiona i przygniótł do ziemi. Edgar usłyszał straszne łupnięcie, gdy głowa Sunni z impetem uderzyła o kamienny stopień na progu. Z przerażeniem zobaczył, że ukochana straciła przytomność. Wiking przyklęknął, sięgnął do skórzanej kamizelki i wyciągnął rzemień, którym pewnie zamierzał związać dziewczynę, lecz kiedy odwrócił głowę, kątem oka zauważył Edgara.

Na jego twarzy odmalował się niepokój. Sięgnął po porzuconą broń, ale było już za późno. Edgar okazał się szybszy i pierwszy pochwycił topór, podobny do tego, którego używał do ścinania drzew. Zaciskając palce na trzonku, pomyślał, że broń jest pięknie wyważona. Cofnął się poza zasięg żółtowlosiego, który zaczął podnosić się z podłogi.

Edgar zatoczył toporem szerokie koło, a zaraz potem uniósł broń nad głowę i szybkim, mocnym ruchem ją opuścił. Ostrze utkwilo w głowie wikinga. Rozłupało skórę i czaszkę i sięgnęło mózgu.

Ku zgrozie Edgara mężczyzna nie upadł od razu – przez chwilę próbował utrzymać się na nogach. W końcu życie uleciało z niego jak dym znad zdmuchniętej świecy i niezgrabnie zwałił się na podłogę.

Chłopak porzucił topór i przyklęknął obok Sunni. Oczy miała otwarte, jakby czegoś wypatrywała. Wyszeptał jej imię.

– Przemów do mnie – poprosił.

Ujął ją za rękę, lecz ta była bezwładna. Pocałował ją w usta i uświadomił sobie, że dziewczyna nie oddycha. Położył dłoń na jej kształtnej, miękkiej piersi, rozpaczliwie pragnąc poczuć bicie serca, i rozplakał się, gdy odkrył, że przestało bić. Sunni odeszła; jej serce nigdy

już nie zabije.

Przez dłuższą chwilę patrzył na nią z niedowierzaniem. W końcu z niemal nabożną czułością dotknął czubkami palców jej powiek i delikatnie, jakby bał się, że może zrobić jej krzywdę, zamknął oczy ukochanej.

Powoli pochylał się, aż dotknął głową nieruchomej piersi dziewczyny; jego łzy wsiąkały w ręcznie tkaną sukienkę z brązowej wełny.

Po chwili ogarnęła go wściekłość na człowieka, który odebrał życie jego ukochanej. Niewiele myśląc, zerwał się na nogi, chwycił topór i zaczął rąbać nim twarz wikinga, miażdżąc mu czoło, oczy i kości policzkowe.

Napad szału trwał, dopóki Edgar nie zdał sobie sprawy z przerażającej bezcelowości swego czynu. Kiedy przestał, usłyszał na zewnątrz krzyki w języku, który przypominał mu jego własny, a jednak było w nim coś innego. To przypomniało mu, w jak wielkim jest niebezpieczeństwie. Lada chwila on także mógł stracić życie.

Nie dbam o to, czy umrę, pomyślał, lecz tę myśl szybko zastąpiła inna. Kolejny napotkany wiking mógł zabić go równie łatwo, jak on zatłukł tego, który leżał teraz u jego stóp. Pograżony w smutku, poczuł ukłucie trwogi, gdy uświadomił sobie, że właśnie to może się zdarzyć.

Co począć? – zastanawiał się. Bał się, że ktoś znajdzie go w mleczarni z ciałem wojownika domagającym się pomsty. Ale jeśli wyjdzie, z pewnością złapią go i zabiją. Rozejrzał się dookoła oszalałym wzrokiem, szukając miejsca, w którym mógłby się ukryć. Spojrzał na przewrócony żłób – prymitywną drewnianą konstrukcję. Wydawał się dość duży, by Edgar mógł się pod nim zmieścić.

Położył się na kamiennej podłodze i nakrył się żłobem. Po chwili podniósł go jeszcze, sięgnął po topór i przyciągnął go do siebie.

Przez szczeliny w deskach prześwitywało światło. Edgar leżał bez ruchu i nasłuchiwał. Drewno tłumilo odgłosy, wciąż jednak słyszał dobiegające z zewnątrz wrzaski. Czekał przerażony; w każdej chwili któryś z najeźdźców mógł wejść do mleczarni i zajrzeć pod żłób. Jeśli tak się stanie, spróbuję zabić go toporem, postanowił Edgar. Najgorsze jednak było to, że leżał na podłodze, a to znaczyło, że stojący nad nim wróg będzie miał przewagę.

Usłyszał skomlenie psa i uświadomił sobie, że to Brindle stoi obok jego kryjówki.

– Idź sobie – syknął. Dźwięk jego głosu rozechocił tylko sukę i zaskomlała jeszcze głośniejsze.

Zaklął, uniósł skraj żłobu, wyciągnął rękę i przyciągnął zwierzę. Brindle położyła się obok niego i natychmiast się uspokoiła.

Czekał, przysłuchując się dobiegającym z zewnątrz potwornym

odgłosom rzezi i zniszczenia.

Brindle zaczęła zlizywać z ostrza topora resztki wikińskiego mózgu.

*

Nie wiedział, jak długo siedział w ukryciu. Zrobiło się ciepło i przypuszczał, że słońce stoi już wysoko na niebie. W końcu zgiełk na zewnątrz zaczął cichnąć, Edgar nie miał jednak pewności, czy wikingowie odpłynęli. Za każdym razem, gdy zastanawiał się, czy nie wyjść z kryjówki, dochodził do wniosku, że jeszcze nie czas. Na myśl o Sunni znów się rozplakał.

Śpiąca obok Brindle od czasu do czasu skomlała i drżała. Edgar zastanawiał się, czy psom zdarzają się złe sny.

On czasami miewał koszmary: był na tonącej łodzi albo potężny dąb spadał wprost na niego, a on nie mógł się ruszyć, albo próbował wydostać się z płonącego lasu. Kiedy się budził, ogarniała go taka ulga, że miał ochotę rozplakać się ze szczęścia. Teraz nie przestawał myśleć, że atak wikingów to tylko kolejny zły sen, a gdy się obudzi, odkryje, że Sunni wciąż żyje. Nie obudził się jednak.

W końcu dobiegły go głosy i wychwycił anglosaskie słowa. Mimo to nadal się wahał. Głosy nie wydawały się przerażone, lecz stroskane. Ludzie, których słyszał, byli smutni, lecz nie sprawiali wrażenia, jak gdyby obawiali się o własne życie. To z pewnością był znak, że wikingowie odpłynęli.

Ilu jego przyjaciół zabrali na łodzie, by sprzedać ich jako niewolników? Ile trupów zostawili za sobą? Czy wciąż miał rodzinę?

Brindle wydała gardłowy pomruk i spróbowała się podnieść. Pod złobem nie było na to dość miejsca, jednak suka wyczuwała, że niebezpieczeństwo minęło i może się już poruszyć.

Edgar uniósł złób i suka natychmiast wyszła z ukrycia. Potem on wytoczył się spod niego, trzymając w dłoni wikiński topór, i powoli opuścił złób z powrotem na kamienną podłogę. Wstał. Ręce i nogi miał obolałe od leżenia bez ruchu w ciasnej kryjówce. Zatknął topór za pas.

Uchylił drzwi mleczarni i wyjrzał na zewnątrz.

Combe zniknęło.

Przez chwilę gapił się w osłupieniu. Jak to możliwe, że Combe przestało istnieć? Znał jednak odpowiedź. Niemal wszystkie chaty spłonęły do gołej ziemi. Znad kilku wciąż unosiły się smugi dymu. Tu i ówdzie stały domy z kamienia, lecz Edgar potrzebował chwili, żeby je rozpoznać. Klasztor miał dwa budynki z kamienia – kościół i piętrowy dom z refektarzem na dole i dormitorium na górze. Poza tym w Combe były jeszcze dwa kamienne kościoły. Nieco dłużej zajęło mu rozpoznanie domu złotnika, którego kamienne ściany miały chronić Wyna przed złodziejami.

Krowy Cynerica przeżyły najazd wikingów i zbite w ciasną gromadkę stały pośrodku ogrodzonego pastwiska. Krowy były cenne, lecz Edgar przypuszczał, że zagnanie zwierząt na łódź stanowiło problem, a wikingowie, jak wszyscy złodzieje, woleli monety albo cenne niewielkie przedmioty jak biżuteria.

Oszołomieni mieszkańcy Combe stali wśród zgłiszczy. Z ich ust dobywały się pojedyncze dźwięki wyrażające smutek, przerażenie i zdumienie.

W zatoce cumowały te same łodzie, jednak te, na których przypłynęli wikingowie, zniknęły.

Spojrzał w końcu na ciała leżące w mleczarni. Wiking prawie nie przypominał już człowieka i Edgar poczuł się dziwnie na myśl, że to jego dzieło. Teraz wydawało mu się to nie do pomyślenia. Sunni wyglądała zdumiewająco spokojnie. Uderzenie w głowę, które ją zabiło, nie pozostawiło na jej ciele żadnych śladów. Oczy miała na wpół otwarte, więc raz jeszcze zamknął jej powieki. Uklęknął i położył dłoń na jej piersi, jakby jeszcze się łudził, że poczuje pod palcami bijące serce. Ciało dziewczyny było zimne.

Co powinien zrobić? Może mógłby jakoś pomóc jej duszy, by trafiła do nieba? Klasztor nadal stał. Powinien zabrać ciało do kościoła.

Wziął ją na ręce. Nie spodziewał się, że będzie to takie trudne. Sunni była szczupła, a on silny, lecz pod ciężarem bezwładnego ciała zachwiał się i aby odzyskać równowagę, musiał przytulić ją do piersi mocniej, niż tego chciał. Ten silny uścisk i świadomość, że Sunni nie czuje już bólu, jeszcze dobitniej uświadomiły mu, że ukochana nie żyje, i łzy znów napłynęły mu do oczu.

Przeszedł przez dom i minawszy ciało Cynerica, wyszedł na zewnątrz.

Brindle truchtała za nim.

Zdawało mu się, że jest już popołudnie, choć nie miał pewności, bo w powietrzu unosiły się smugi dymu z dogasających domostw, popiół i ohydna woń spalonych ludzkich ciał. Ci, którzy przeżyli, rozglądali się w osłupieniu, jak gdyby nadal nie pojmowali, co się właściwie stało. Inni wychodzili z lasu, niektórzy prowadzili żywy inwentarz.

Edgar ruszył w stronę klasztoru. Ciało Sunni zaczynało mu ciążyć, lecz ból ramion sprawiał mu dziwną, niemal perwersyjną przyjemność. Niepokoiło go tylko to, że ona wciąż otwiera oczy. Chciał, żeby wyglądała tak, jakby spała.

Nikt nie zwracał na niego uwagi; wszyscy przeżywali własne tragedie. Nie niepokojony przez nikogo, dotarł do kościoła i wszedł do środka. Jak się okazało, nie on jeden wpadł na ten pomysł. Wzdłuż nawy leżały ciała, przy których stali lub klęczeli ludzie. Zrozpaczony przeor Ulfric podszedł do Edgara i zapytał obcesowo:

– Żywa czy martwa?
– To Sungifu – odparł Edgar. – Nie żyje.
– Martwych składamy we wschodnim końcu – wyjaśnił Ulfric, zbyt zajęty, by silić się na delikatność. – A rannych w nawie.
– Pomodli się przeor za jej duszę? Proszę.
– Będzie potraktowana jak pozostali.
– To ja wszcząłem alarm – oburzył się Edgar. – Możliwe, że ocaliłem przeorowi życie. Proszę się za nią pomodlić.

Ulfric nie odpowiedział i oddalił się pośpiesznie.

Edgar zobaczył brata Maerwynna, który bandażował nogę rannego mężczyzny, podczas gdy ten jęczał z bólu. Kiedy mnich wstał, Edgar zwrócił się do niego:

– Pomodli się brat za duszę Sunni?
– Tak, oczywiście – odrzekł Maerwynn i uczynił na czole Sunni znak krzyża.

– Dziękuję.

– A teraz złóż ciało we wschodnim końcu kościoła.

Chłopak ruszył w górę nawy i minął ołtarz. W drugim końcu kościoła złożono w równych rzędach ponad dwadzieścia ciał, nad którymi stali pogrążeni w bólu bliscy. Edgar ostrożnie położył ciało Sunni. Wyprostował jej nogi, ramiona skrzyżował na piersi dziewczyny i palcami przyczesał jej włosy. Żałował, że nie jest duchownym, wówczas sam zadbałby o jej duszę.

Kłęczał przez długi czas wpatrzony w jej nieruchomą twarz i próbował oswoić się z myślą, że już nigdy nie spojrzy na niego z uśmiechem. W końcu jednak zwrócił myśli ku żywym. Czy jego rodzice przeżyli? Czy bracia trafili do niewoli? Zaledwie kilka godzin temu zamierzał opuścić ich na dobre, a teraz ich potrzebował. Bez nich będzie na świecie sam jak palec.

Jeszcze chwilę stał nad ciałem Sunni, po czym wyszedł z kościoła, a za nim Brindle.

Na zewnątrz zaczął się zastanawiać, od czego zacząć. W końcu postanowił, że najpierw pójdzie do domu. Wiedział, że z chaty pozostały pewnie zgłiszcza, miał jednak nadzieję, że znajdzie tam bliskich albo chociaż dowie się, co się z nimi stało.

Najkrótsza droga wiodła wzdłuż plaży. Idąc w stronę morza, prosił Boga, by jego łódź była wciąż na brzegu. Zostawił ją w pewnej odległości od najbliższych zabudowań, może więc nie spłonęła.

Po drodze spotkał matkę, która ukryła się w lesie i teraz wracała do miasta. Na widok jej ostrych, zdecydowanych rysów i pewnego siebie kroku poczuł ulgę tak wielką, że nogi się pod nim ugięły i omal nie upadł. Matka niosła kociołek z brązu; być może jedyną rzecz, którą zdołała zabrać z domu. Twarz miała ściągniętą ze smutku, lecz zaciśnięte

w wąską kreskę usta zdradzały ponurą determinację.

Na widok Edgara rozpromieniła się. Objęła go i kryjąc twarz w jego piersi, wyszlochała:

– Mój synek, och, mój Eddie, dzięki Bogu.

Zacisnął powieki i przytulił ją. Jeszcze nigdy nie cieszył się tak na widok matki.

Po chwili otworzył oczy, spojrzał ponad jej ramieniem i zobaczył Ermana – równie ponurego jak matka, choć na jego twarzy malowała się zaciętość – i jasnowłosego, piegowatego Eadbalda. Nigdzie jednak nie widział ojca.

– Gdzie tata? – spytał.

– Kazał nam uciekać – odparł Erman. – Sam został, żeby bronić warsztatu.

„A wyście go zostawili?”, chciał powiedzieć Edgar. Powstrzymał się jednak, bo nie był to czas na wzajemne obwinianie się, zresztą sam przecież zostawił rodzinę.

Matka wypuściła go z objęć.

– Wracamy do domu – rzekła. – Do tego, co z niego zostało.

Ruszyli w stronę brzegu. Matka kroczyła energicznie, chcąc jak najszybciej poznać prawdę – nieważne, czy dobrą, czy złą.

– Szybko uciekłeś, braciszku – rzucił oskarżycielsko Erman. – Czemu nas nie zbudziłeś?

– Właśnie że obudziłem – oburzył się Edgar. – To ja uderzyłem w kościelny dzwon.

– Nieprawda.

Sprzeczenie się w takich sytuacjach było typowe dla Ermana. Edgar odwrócił wzrok i nie odezwał się więcej. Nie obchodziło go, co myśli brat. Kiedy dotarli na plażę, zauważył, że jego łódź zniknęła. Było oczywiste, że zabrali ją wikingowie. Potrafili rozpoznać dobrą łódź. Do tego łatwo ją było ukraść – wystarczyło, że przywiązali ją do rufy jednej ze swoich. Strata była dotkliwa, lecz Edgar nie czuł bólu: w porównaniu ze śmiercią Sunni zdawała się niczym.

Idąc brzegiem, natknęli się na zabłądaną matkę rówieśnika Edgara; zastanawiał się, czy zginęła, próbując powstrzymać wikingów, by nie brali jej syna w niewolę.

Kilka jardów dalej leżało kolejne ciało, a jeszcze dalej następne. Edgar przyglądał się każdej twarzy; wszystkie należały do jego przyjaciół i sąsiadów, lecz nie było wśród nich ojca. To obudziło w nim nieśmiałą nadzieję, że może ojciec przeżył.

W końcu dotarli do domu, z którego pozostało jedynie palenisko i stojący nad nim żelazny trójnog. Przy zgłiszczach natknęli się na ciało ojca. Matka krzyknęła z rozpacz i przerażenia i upadła na kolana. Edgar uklęknął przy niej i objął ręką jej drżące ramiona.

Prawa ręka ojca została odrąbana, prawdopodobnie toporem, przez co wykrwawił się na śmierć. Edgar pomyślał o sile i umiejętnościach, które do niedawna drzemały w tym ramieniu, i po policzkach spłynęły mu łzy wściekłości i żalu.

– Spójrzcie na warsztat – usłyszał głos Eadbalda.

Wstał i otarł oczy. Z początku nie był pewien, co właściwie widzi, więc jeszcze raz przetarł łzy.

Warsztat spłonął. Łódź, którą budowali, i sterta drewna zmieniły się w kupki popiołu, podobnie jak beczka smoły i lina. Pozostał tylko kamień szlifierski, na którym ostrzyli narzędzia. Wśród dogasającego żaru Edgar dostrzegł zwęglone kości, zbyt małe, by mogły należeć do człowieka. Domyślił się, że to szczątki uwiązanego na łańcuchu biednego Grendela.

Wszystko, z czego żyli, znajdowało się tutaj.

Edgar uświadomił sobie, że stracili nie tylko warsztat, ale też źródło utrzymania. Nawet gdyby ktoś chciał zamówić u nich łódź, nie mieli drewna na budowę, narzędzi, by nadać drewnu kształt, ani pieniędzy na zakup tego, co było im potrzebne.

Matka miała pewnie w sakiewce kilka srebrnych pensów, lecz nigdy im się nie przelewało, a ojciec za każdą nadwyżkę pieniędzy kupował drewno. Powtarzał, że dobre drewno jest lepsze od srebra, bo trudniej je ukraść.

– Straciliśmy wszystko i nie mamy z czego żyć – odezwał się Edgar.
– Na Boga, co my teraz pocniemy?

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).